



## TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

### DLA CZEGO NA GÓRACH ZIMNO?

SKREŚLIŁ

Stanisław Kramsztyk.

#### II.

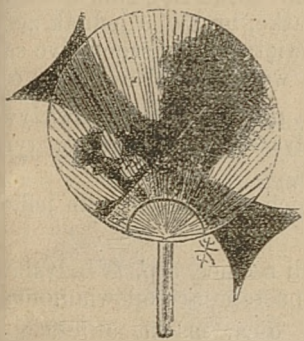
Błędnie zatem sądzono niegdyś, że promienie słoneczne są same przez się zimne; nie rozumiano, że na górze i na ziemi ogrzewają one jednakowo ciała, na które padają, ale powietrze na dole tylko jest ciepłe. Promienie słoneczne na górach palą nawet silniej, aniżeli na ziemi, bo mniej są wpływem atmosfery osłabione – ale działają tam tylko, gdzie padają bezpośrednio.

Jeżeli stoimy na górze, to strona naszego ciała ku słońcu zwrócona jest ogrzewana przez promienie, druga jednak strona doznaje lodowatego chłodu, otaczające nas bowiem powietrze jest zimne. Podróżnik pewien opowiada, że na górach Himalajskich, gdzie się wdarł na wysokość 10,000 stóp, termometr wskazywał na słońcu 45°, a tuż obok w cieniu temperatura nie przechodziła 5°. Na górze Montblanc doznają podróżni nieznośnego żaru promieni, choć nogi ich głęboko w śniegu grzęzną.

Im wyżej się wznosimy, tem powietrze staje się coraz zimniejszym, słońce natomiast pali coraz silniej, a wśród zimna górskiego twarze podróżnych opalają się silniej, aniżeli w skwarze pustyni.

Skoro wszakże promienie słoneczne na górach tak silnie działają, powie zapewne uważny czytelnik, toć śnieg

w ich blasku powinienby szybko stopnieć; jakżeż utrzymać się może przez ciąg całego lata? Ale na to damy odpowiedź łatwo, skoro tylko przypomnimy sobie, że ciała białe daleko silniej odbijają promienie, aniżeli czarne; skoro zaś je odbijają i odrzucają, nie mogą ich przeto zatrzymywać, nie pochłaniają ich, a tem samem ogrzewać się nie mogą. Od powierzchni śniegu na górach promienie odbijają się i rozbiegają, ale w ich blasku śnieg zimnym pozostaje. Na powierzchni ziemi śnieg taje, skoro tylko dnie są cieplejsze; dzieje się to jednak nie przez bezpośrednie działanie promieni, ale pochodzi stąd, że dalsze warstwy powietrza zwolna się rozgrzewają i z kolei udzielają ciepła śniegowi. Jeżeli chcemy przyspieszyć topienie lodu, obsypujemy go węglem, skoro bowiem powierzchnia jego staje





się czarna, lepiej pochłania promienie; dla tego to zbrukany śnieg w miastach topi się wcześniej, aniżeli czysty śnieg zalegający pola. Gdy podczas pogodnego dnia zimowego rozpozstrzemy na śniegu czarny płatek sukna lub innej tkaniny, a obok niego płatek biały, to pod płatkami czarnym śnieg rychło się stopi, pod białym pozostanie niezmienny.

Potrąfimy zatem wytłumaczyć już sobie, że powietrze w górnych, wyższych warstwach atmosfery zawsze pozostaje mroźnym dla tego, że jest przecieplające, że przepuszcza promienie, nie zatrzymując ich, nie pochłaniając. Niech nikt wszakże nie sądzi, że jest ono doskonale przecieplające, że jednakowo dobrze przepuszcza wszelkiego rodzaju promienie; działa ono owszem poniekąd jak szkło, daleko łatwiej przepuszcza promienie jasne aniżeli ciemne.

Aby zrozumieć dobrze, jaki wpływ powietrze wywiera, należy zobaczyć co się dzieje w cieplarni dachem szklanym nakrytej. Jasne promienie słoneczne przedzierają się tam przez szkło bez zawady, a rośliny zatrzymują to ciepło, pochłaniają je, ogrzewają się. Skoro się wszakże ogrzały, zaczynają też stygnąć bezzwłocznie, wysyłają i tracą natychmiast ciepło, które sobie przyswoiły; bez osłony zatem szklanej promienie słoneczne nie mogłyby u nas utrzymywać roślin, które potrzebują skwaru okolic zwrotnikowych. Roślina bowiem ogrzana promieniami jasnymi słońca, wysyła tylko promienie ciemne, a te jak wiemy, przez szkło nie przenikają; ciepło pozostaje jakby uwięzione w cieplarni, jest ona jakby pułapką na ciepło. Dlatego to mówimy że w cieplarni nam duszno, a podobnego wrażenia, choć w mniejszym stopniu, doznajemy w lecie i w pokoju, gdy okna są zamknięte,

Otóż, podobnież znaczenie jak owe szyby cieplarni, przedstawia dla całej ziemi atmosfera. Promienie przebywające od słońca przedzierają się przez nią łatwo, przechodzą w znacznej przynajmniej części i rozgrzewają powierzchnię ziemi, która wszakże odsyła tylko promienie ciemne, a dla nich powietrze jest już daleko mniej przezroczyste czyli raczej przecieplające. Zatrzymuje je więc i pochłania, nie dozwala im rozbiegać się, rozpraszać w przestrzeń światową. Gdyby nie było atmosfery dokoła ziemi, albo gdyby jednakowo przecieplającą była dla wszelkich promieni, i jasnych i ciemnych, ziemia stygłaby równie łatwo, jakby się ogrzewała; w pełnym nawet blasku słonecznym pozostawałaby zimną, mroźną, zlodowaciałą. Bez opieki atmosfery, ciepło, choć je nam słońce tak obficie nadsyła, byłoby zupełnie bezskuteczne, ziemia nie mogłaby korzystać z ciepła słonecznego; dochodziłyby wprawdzie do nas promienie, ale odbiegałyby również łatwo. Atmosfera tylko łowi je i więzi, a to dzięki dwóm wprost przeciwnym własnościom swoim — przecieplania i pochłaniania.

Jak ryby w wodzie, tak my przebywamy w oceanie powietrznym; oddychamy powietrzem i nie moglibyśmy żyć bez niego. O tem wie każdy; ale teraz dowiedzieliśmy się, że powietrze niezbędne jest i do utrzymywania ciepła na ziemi. Gdyby nie było powietrza, byłoby na powierzchni ziemi tak zimno, i zimniej nawet jeszcze aniżeli na górach, a wieczne śniegi zalegałyby pola, jak teraz wysokie szczyty gór pokrywają.

## Opowiadanie pana Władysława.

(z prawdziwego wydarzenia opisała 13 letnia Podróżniczka.)

Miałam lat 8, gdy byłam z rodzicami w Egipcie.

Przypatrzwszy się brzegom Nilu, zaszedliśmy do pierwszorzędnego hotelu w miejscowości gdzie przebywaliśmy. Wśród wielu gości mimowoli uderzyła nas powierzchowność kogoś, w kim przeczuiliśmy rodaka, i on również przypatrywał nam się uważnie. Nie wiem już jak się to stało, dość że się ojeiec wkrótce z nim zaznajomił, i odtąd siadywał on zwykle przy nas, rozmawiając tak serdecznie, jak się rozmawia z bliskimi sobie. Nazywaliśmy go „panem Władysławem”, był wysokiego wzrostu, miał około lat czterdziestu, długie wąsy, włosy dobrze szpakowate, wyraz twarzy bardzo pociągający, siwe zaś jego oczy patrzyły tak smutno i tęskno, że mimowoli trzeba było mieć dla niego współczucie.

Przed wyjazdem do Egiptu poznałam pewną panią, która straciwszy wcześniej mateczkę, zostawała pod niedobrym wpływem obcych nauczycielek, nie była też obznajmioną jak potrzeba z nauką religii, i miała zwyczaj narzekania na wszystko co ją w życiu spotykało. Mnie wychował troskliwi rodzice inaczej, ale zły przykład wiele może, to też wkrótce spostrzegli we mnie z żalem różne nowe wady, a obok nich niezadowolenie, ilekroć się coś złożyło nie według mej myśli, widocznie wstępowałam w ślady mojej przyjaciółki. Musieli o tem wspomnieć panu Władysławowi, gdyż ten jednego razu przemówił do mnie w te słowa:

— Słuchaj dziecko: Bóg cię jeszcze nie dotknął żadnym nieszczęściem, i dał ci tyle, że śmiało możesz nazwać się szczęśliwą, a ty podobno śmiesz wyrzekać. Cóż to będzie gdy ci Bóg zechce doświadczyć? Gdy ci np. zabierze którą z osób ukochanych, cóż poczniesz wtedy?

Zmieszana nic nie odpowiedziałam, a p. Władysław ciągnął dalej.

— Módl się dziecko moje do Boga, dziękuj Mu za wszystko co posiadasz, i proś aby ci jak najdłużej zachował szczęście, które jest twoim udziałem. Mnie Bóg zabrał wszystkich których kochałem, ojca, matkę, brata, a jednak zgodziłem się pokornie z wolą Jego świętą. Zmuszony żyć samotnie, powtarzam zawsze: „Bądź wola Twoja”.

Rodzice moi przybliżyli się, a p. Władysław zauważywszy, że pragniemy wszyscy posłyszeć coś więcej w tym przedmiocie, mówił dalej.

— Jeśli państwo chcecie posłuchać, opowiem wam jeden ustęp z mego życia.

— Prosimy, prosimy — rzekli rodzice, a p. Władysław namyśliwszy się chwilę rozpoczął następujące opowiadanie:

— W dzieciństwie straciłem ojca, matka objęła pod swój zarząd niewielki kawałek ziemi, który nam został w spuściznie, i choć z trudnością, wychowywała starannie mnie, i młodszego odemnie Kazia. Zylismy tak szczęśliwie we troje, matka moja ideał kobiet, energiczna i poświęcająca się, pracą nieustanną utrzymywała dom we względnym dobrobycie. Kazio cichy, poczciwy chłopczyzna, ustępował wszystkim, nigdy się z nikim nie pogiewał, a tak był roztropny i poważny na swoje 8 latek, że ja drugoklasista, nie wstydziłem się z nim bawić. Gdym pierwszy raz ze świadectwem w kieszeni i dobrą miną ze szkół przyjechał, Kazio z początku był ze mną nieśmiały, lecz wkrótce zapomniał o tem i bawiliśmy się jak dawniej w najlepsze.

Zdolności miałem do nauk bardzo słabe, to też pilność w naukach pochłaniała dość liche zdrowie moje. W kilka dni po przyjeździe do domu dostałem gorączki która mię niezmiernie osłabiła. Całymi dniami leżałem nieruchomie w łóżku, widząc nad sobą pochylone, kochające oblicze matki, albo dziecienną główkę Kazia. Wiele czasu tak przeszło a ja się podnieść nie mogłem, a tęsknym wzrokiem spogląda-



jąc w okno, pragnąłem choć chwilę świeżem odetchnąć powietrzem, ale lekarz zabronił mi tego i musiałem siedzieć zamknięty w pokoju, podczas gdy myślą wyrwałem się do słońca i zieloności.

Nie pomagało jednak zamknięcie ani lekarstwa i byłem coraz gorzej. Pewnego razu przez sen prawie słyszę głos Kazia:

— Mamo! czemu ty ciągle patrzysz na Władzia, a na Kazia ani spojrzysz?

Przytłumione lkanie matki było odpowiedzią na te słowa; później dopiero rzekła.

— Bo ciebie Kaziu będę zawsze widziała, a Władzio bardzo chory i może umrzeć.

— Umrzeć — szepnął Kazio — dla czego umrzeć?

— Bo chory, i śmierć nam go ebbe zabrać.

Otworzyłem w tej chwili oczy, a Kazio zaprzestał pytać. Tak było w istocie: śmierć podedrzwiami naszymi stała postanowiwszy widocznie nie odejść inaczej jak z ofiarą... Tu p. Władysław umilkł na chwilę wzruszony, poczem ciągnął dalej:—Tak, z ofiarą, wszystko jej było jedno kogo zabierze, ale musiała zabrać kogoś.

Gdy noc znowu nadeszła, matka moja zmęczona kilkunastodniowym czuwaniem, zasnęła mocno na krześle, ja nie śpiąc popijałem od czasu do czasu słodki napój, który był przy mnie. W tem słyszę wśród nocnej ciszy w sąsiednim pokoju ostrożne stąpanie; w pierwszej chwili zaniepokoiłem się, lecz zaraz drzwi skrzypnęły, a na progu ukazał się Kazio, dzwigając w ręku mój szynel uczniowski, i ciepły szal matki. Przyszedł z tem do łóżka mego, wspiał się na palce i szeptał:

— Władziu, nie śpisz, to dobrze, wstawaj prędko i ubieraj się, ja ci pomogę, tylko cicho, bo jak mama się obudzi to nas zatrzyma.

— Dokąd pójdziemy? — rzekłem zrywając się z łóżka.

— Uciekajmy, bo mama mi mówiła że cię śmierć zabierze, że może nawet niedługo po ciebie przyjdzie, więc cię zaprowadzę do lasu, posiedzisz tam przez dzień, to śmierć cię nie znajdzie i pójdzie sobie.—Słowa te podnieciły moje siły, i ja co nie mogłem podnieść się na łóżku, usiadłem na krześle i z pomocą Kazia włożyłem ubranie. Nie myślałem ja uciekać przed śmiercią, bo byłem przecież starszy i lepiej rozumiałem wszystko, ale powiedziałem sobie.

— Więc pójdę za bramę, do lasu, usłyszę ptaki śpiewające, usiądę na mięciutkiej trawie, i kwiaty będę mógł zrywać.

Dniało już, wyszliśmy powoli z domu, a mimo że cparty na ramieniu braciszka potykałem się co chwila, przeszliśmy mały ogródek, potem małą łączkę przytykającą do lasu, lecz tutaj siły mię opuściły i pod pierwszym drzewem upadłem.

Mokro i chłodno było nam w lesie, a chociaż wschodzące słońce osuszało rosę, do nas się jego promienie przedrzeć jeszcze nie mogły przez drzewa. W sąsiednim kościele zadzwoniono, srebrny ten dźwięk przejmował mnie radością, przypomniałem sobie jak dawniej codzien chodziłem z rodzicami do kościoła, a dzisiaj dzwon tak samo wołał: Chodźcie tu! chodźcie tu! Las zaczął także śpiewać, każde drzewo, każda gałązka, liść nawet każdy przyłączał się do ogólnego chóru, i urosła pieśń potężna, która wznosiła się coraz wyżej i wyżej. Las śpiewał a ja słuchałem, z marzeń tych wyrwał mię naraz głos wołający.

— Kaziu! Władziu! O Boże! gdzie jesteście dzieci moje?

— Chodźmy Kaziu—szepnąłem pociągając go za rękę.

Ale brat mnie nie słyszał leżąc na wilgotnej trawie miał zsiniałą z chłodu twarzyczkę z takim dziwnym wyrazem że mnie przestraszył. Więc odezwałem się matce, która nadbiegła, wyszedłszy zrozpaczona na nasze poszukiwanie, wzięła Kazia na ręce, a ja dziwnie pokrzepiony przechadzka wracałem o własnych siłach, oddawszy teraz szal Kaziovi, który pamiętając o mnie, zapomniał o sobie i wyszedł z domu bez ciepłego okrycia. Co potem było nie wiem, dziwiło mię tylko że matka koło mnie ciągle chodzi, a Kazio nie przyszedł ani

razu, mówiono mi później, że przechodził w owym czasie kryzys. Gdym odzyskał zupełną przytomność usłyszałem w przyległym pokoju dziwne szepty, i w całym domu bieganie, wstałem, a otworzywszy drzwi — tu pan Władysław urwał swe opowiadanie, bo płakał za tym małym braciszkiem, który chcąc go przed śmiercią ochronić, zaziębił się w lesie.—Ujrzałem — ciągnął dalej — Kazia leżącego na łóżku z sinemi usteczkami, dusił się dostawszy krupu, a mimo cierpienia złożone miał do modlitwy rączki i uśmiechał się. Stałem jak skamieniały, patrząc na tę główkę otoczoną złotymi włosami jak aureolą...

Tak, on umierał, a ja żyłem, on za mnie umierał, moje życie było okupione jego życiem, śmierć pochwyliła inną ofiarę... Nikt mnie nie spostrzegł oprócz Kazia, wyciągnął ręce i zawołał:

— Pocałuj mnie Władziu.

Ledwo zdążyłem to uczynić, Kazio jęknął, a potem — i p. Władysław znowu urwał, a za chwilę dokończył szeptem... potem dzwony były, i słyszałem śpiew, ale to nie las śpiewał... A niedługo potem i matka umarła... pochylił głowę niżej jeszcze, a za chwilę zwróciwszy się do mnie dodał: i po tem wszystkim, po tem wszystkim mówię ci dziecko że świętą jest wola Boża i nie szmarzę nigdy; oni za święci byli aby żyć, a ja za grzeszny by umierać. Bóg sprawiedliwy!...

Nazajutrz p. Władysław odjechał, a ja odmieniłam się zupełnie, znikły nowo nabyte wady, a przedewszystkiem postanowiłam nigdy odtąd nie narzekać, lecz dziękować tylko Bogu za wszystko czem mnie obdarzył.

# BALONEM DO BIEGUNA.

PRZEZ

WŁ. JMIŃSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Kierunek jej potwierdzał niestety najzupełniej, słowa wyrzeczone przez sternika; widocznem było, iż aerostat posuwał się nie na południe, lecz na południowy wschód, zgodnie z przypuszczeniem Forda, i to ze straszną szybkością, której nasi zeglarze nie domyślali się nawet. W istocie przebytu w przeciągu ostatnich dwudziestu godzin przestrzeń, wynosiła podług obliczeń kapitana, co najmniej 3700 kilometrów; wypadło więc, iż aerostat przebiegał średnio po 180 kilometrów na godzinę.

— Omyliłem się — wyszeptał Gromski, opuszczając ręce — ciepły prąd nie zaniesie nas do bieguna.

— Odrazu domyśliłem się tego — rzekł Ford — powinieneś pan był liczyć się z obrotem ziemi, który zmienia kierunek prądów płynących od biegunów ku równikowi. Na półkuli północnej, jak panu wiadomo, ciało poruszające się po południku, zbacza w prawo, to jest na zachód; passaty, wiejące stale od północnego wschodu, dowodzą tego wymownie; na półkuli południowej zachodzi odwrotne zjawisko, t. j. wiatry odbiegunowe skracają trochę na lewo. Prawdopodobnie prawu temu podlega także unoszący nas ciepły prąd.

— Powinien więc zbaczać ku zachodowi?

— Bynajmniej; płynie on w kierunku przeciwnym aniżeli prąd zimny, równoległe jednak do tego ostatniego.

— Jakież więc panują wiatry pod biegunem, we dług twojego zdania, kapitanie?

— Na to nie potrafię stanowczo odpowiedzieć; okolice polarne mało badano pod tym względem; wiem to tylko na pewno, iż w styczniu, na południu oceanu Atlantyckiego i Spokojnego, przeważnie wieją wiatry północno-zachodnie. Przyznaję, iż obecność ciepłego prądu w tych szerokościach dziwi mnie trochę.

— Czy pan nie przypuszczasz, że powietrze, dążące ze



wszech stron ku biegunowi, może dać początek wielkiemu wirowi?

— To bardzo prawdopodobne.

— Mamy więc wyjaśnienie zagadki, a zarazem wskazówkę, co czynić — rzekł Gromski, zacierając ręce. — Nie jest jeszcze tak źle z nami; widocznie znajdujemy się w wirze, który prędzej czy później zanieś nas do bieguna po spiralnej linii.

— To hipoteza, kochany inżynierze; nie radzę zbyt jej ufać.

— Cóż więc przedsięwziąć?

— Nad tem warto się zastanowić.

Najbardziej ku równikowi wysunięty jego koniec, odległym jest o niecałe siedm stopni od przyłądka Horn i nosi miano Ziemi Palmera, swego odkrywcy.

Łąd ten cokolwiek dalej na południe, aż do koła biegunowego, nazywa się ziemią Grahama; za wschodni jego kraniec uważaną jest Ziemia Ludwika Filipa, widziana w 1838 roku jeszcze przez Dumont D'Urville'a. Podług obliczeń kapitana, balon dosięgnął ziemi św. Trójcy podczas krótkotrwałej nocy i od tej chwili płynął ciągle ponad stałym łądem.

Ford chciał co prędzej zobaczyć tajemniczy kontynent; uzbroidł się więc w lunetę i czekał, aż nieprzenikniona zasłona obłoków rozstąpi się przed opadającym wolno aerostatem.



Latawce nad Niagarą.

Inżynier rozumiał to bardzo dobrze; złożono więc walną naradę, do której zaproszono także sternika. Po dokładnem rozważeniu położenia, postanowiono jednogłośnie opuścić się w niższe warstwy atmosfery i tam szukać przyjaźniejszego wiatru.

O godzinie trzeciej sternik chwycił za rączkę od pompy i powoli ją napelniał powietrzem wewnętrzny balonik. Barometr wskazywał wtedy 3900 metrów, termometr zaś 11 stopni ponad zerem. Temperatura ciepłego prądu zmniejszała się więc bardzo znacznie.

Nisko pod stopami naszych żeglarzy leżała warstwa białych obłoków, które z balonu przedstawiały się jak równa porcelanowa tafła. Obecność ich niecierpliwiła Forda, przypuszczał bowiem, że aerostat znajduje się ponad wielkim łądem Południowym, sięgającym do 62° szerokości południowej.

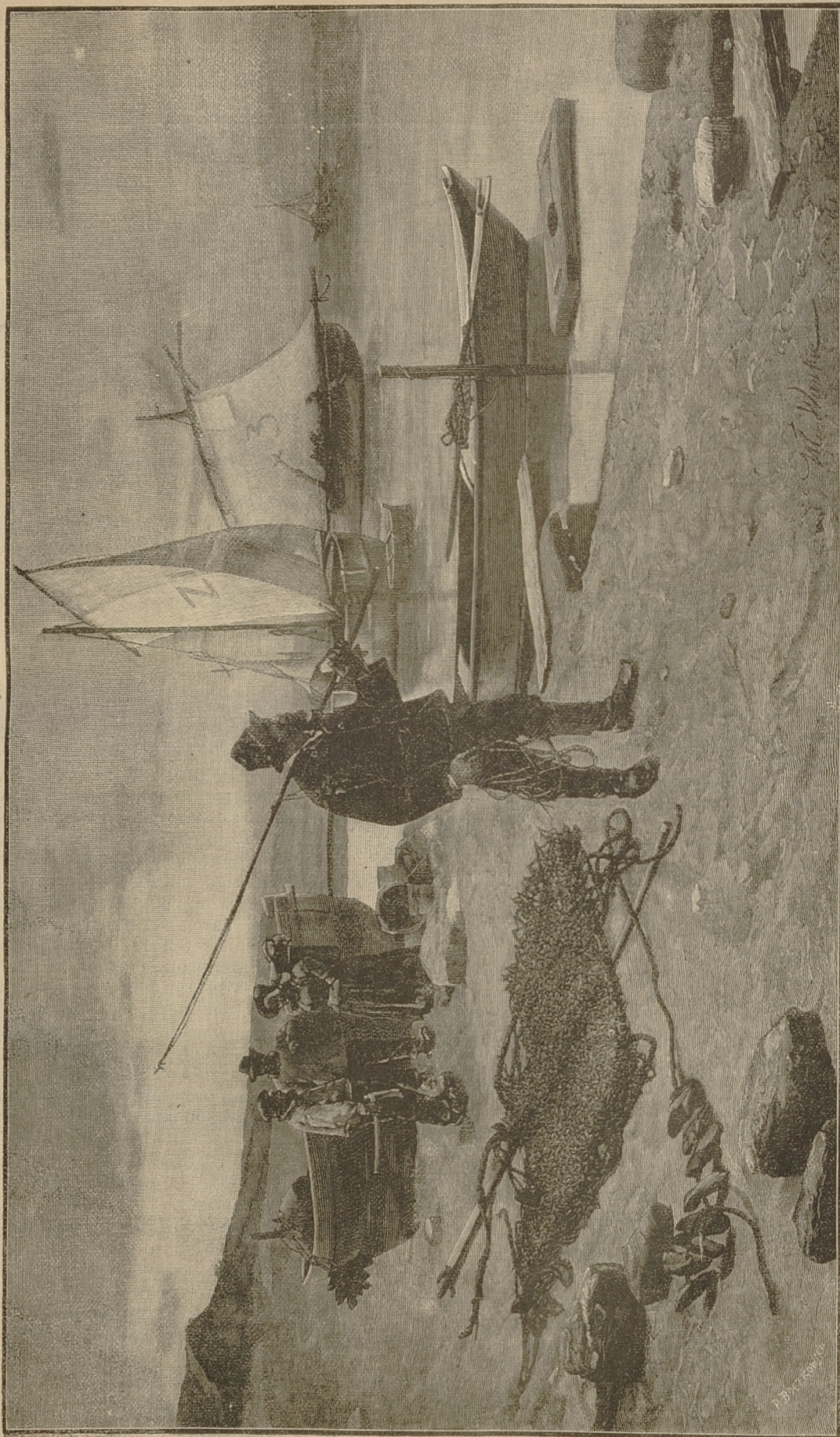
O wpół do czwartej statek powietrzny zanurzył się cały w tem morzu śmietankowem, falującym w podmuchach nieostrzegalnego wiatru; nasi żeglarze znaleźli się nagle w lodowatej, mglistej atmosferze, absorbującej zupełnie prawie światło dzienne.

— Brrr! — wstrząsnął się Dzems — zdaje mi się że jesteśmy w chmurze śniegowej.

— Gorzej jeszcze — rzekł inżynier — znajdujemy się bowiem w obłoku lodowym.

Gromski trafnie się wyraził; termometr bowiem raptownie spadł z 11 stopni ciepła na 3° pod zero. Wilgoć marzyła szybko w tej niskiej temperaturze; w kilka chwil nasi żeglarze wyglądali jak starcy, włosy ich bowiem, wąsy i brody, zbieleły zupełnie; delikatny szron osiadł na wszystkim: na machinie, generatorze parowym, zbiornikach z benzyną, po-





### M O R Z E.

O morze! sine morze, kto nad cię piękniejszy?  
 Z wszystkich Stwórcy objawów kto większy od ciebie,  
 Nic tych wdzięków nie zgasi, piękności nie zmniejszy

Piękneś w obliczu ziemi i piękne przy niebie  
 I wielkie i ogromne, jakby Bóg cię stworzył  
 Aby wieczność wystawił, ludzi upokorzył!  
 J. Kł.



ręczach łódki, a nawet na linach. Gromski i jego towarzysz dostali nagle silnego kaszlu: mikroskopijne igielki lodowe przenikały im do płuc i drażniły nieznośnie przewód oddechow. Sternik, chcąc przejść na środkową platformę, zbliżył się do maszyny, gdy w tem, z rury, odprowadzającej parę, wyskoczyła z trzaskiem iskra elektryczna kilkocentymetrowej długości i boleśnie ukłuła go w rękę.

— Bodaj chmurę taką! — rzekł marynarz, oglądając sparzoną dłoń.

Wyladowanie to dowodziło, że chmury nasycone były elektrycznością — rzecz niezwykła pod 73 cmi stopniem szerokości.

— James, do pompki! — krzyknął nagle Gromski; — przedź, przedź! Spadamy.

Snać para wodna, marznąca na powłoce balonu, zwiększyła jego ciężar, gdyż barometr szybko się podnosił. James w jednej chwili znalazł się u pompy, gdzie spotkał się z kapitanem; obaj chwycili za rękojeść jednocześnie.

W przestrzeni panował półmrok; chmura lodowa, przez którą przelatował balon, była tak gęsta, iż Ford nie widział twarzy sternika stojącego tuż przy nim; Gromski, ażeby dojrzeć wskazówkę barometru, musiał twarz przyłożyć niemal do tarczy.

W pięć minut po wejściu w warstwę lodowych chmur, balon opadł na 600 metrów i znajdował się zaledwie o kilometr nad poziomem oceanu; szybkość jego rosła zatrważająco; Gromski czuł, iż położenie staje się krytycznym, z dołu dochodził ponury szum, niby ryk oddalonej burzy. Ucho kapitana rozpoznało go natychmiast.

— Ocean pod nami! — zawołał.

Szum ten potęgował z każdą chwilą, nie pozwalając wątpić, iż Ford miał rację. Inżynier raz jeszcze spojrzawszy na barometr wskazujący 600 metrów, przekonał się, iż niepodobnem było obejść się bez pomocy balastu. Wydobył więc nóż i odciął nim worek, ważący 8 kilogramów. Zaniepokojenie jego wzrosło jednak, kiedy spostrzegł, iż ten ostatni, zamiast zniknąć pod łódką, unosił się obok niej przez chwilę. Znacząco to, iż balon spadał z szybkością ciężkiego ciała.

— Baczność! — zawołał.

W tej chwili jednak, nieprzenikniona mgła, otaczająca aerostat, niby warstwą waty, rozstąpiła się nagle: nasi żeglarze znaleźli się w czystej atmosferze.

O kilkaset metrów zaledwie pod łódką, ryczał ocean; po jego czarnej powierzchni biegły, jedna za drugą, długie białe plamki; były to pienne grzywy bałwanów, toczących się w południowo-zachodnim kierunku, aż ku zachmurzonemu horyzontowi. Fale te rosły w oczach, wznosiły się ku górze niby podczas olbrzymiego przypływu, rozwierały głębiej oceanu, jakby gotując się na przyjęcie spadającego balonu.

Inżynier, nie namyślając się już, wyrzucił drugi worek, następnie po chwili, trzeci...

Oswobodziwszy się od ciężaru przeszło trzydziestu kilogramów, aerostat z wolna zatrzymał się i zawisł o 200 metrów ponad wzburzonymi falami.

— Do pioruna! — zawołał zadyszany Dzems — w sam czas zatrzymałeś pan balon; o włos nie napiliśmy się słonej wody.

Aerostat wyglądał zupełnie, jak gdyby przeszedł przez warstwę puchu; cały pokryty był delikatnymi włóknkami z kryształków lodowych, które, osiadłszy w wielkiej ilości na powłoce, uczyniły go o kilkadziesiąt kilogramów cięższym i omal nie spowodowały katastrofy. Tuż ponad powierzchnią oceanu panowała temperatura 7 stopni Celsjusza; szron począł więc topnieć i ściekał kroplami z balonu, który też powoli odzyskiwał swą lekkość. Chmury lodowe, jak się teraz przekonano, leżały o 1000 metrów prawie ponad oceanem, tworząc zbitą ławicę, sięgającą aż za widnokrąg.

Nasi żeglarze, ochłoniwszy trochę z pierwszego wrażeń, poczęli zastanawiać się nad swem położeniem. Bieg bałwanów pozwalał im orientować się co do kierunku wiatru. Obserwując położenie pienistych grzbietów fali, Ford od razu poznał, że balon posuwa się na północny-zachód.

Kapitan doskonale znał ocean, i czytał z jego powierzchni, pokrytej ruchomymi brzdami, jak z wielkiej księgi.

— Posuwamy się z szybkością trzydziestu węzłów — rzekł.

— Jakimże sposobem dowiedziałeś się pan o tem? — zagadnął zdziwiony Gromski — kierunek odgadnąć nie trudno z ruclu fali, ale prędkość...

— To bardzo proste — rzekł Ford — licz pan ile razy na minutę łódka przejdzie ponad pienistym grzbietem, pomnóż otrzymaną liczbę przez trzysta, a otrzymasz szybkość względną w metrach; długość fali bowiem nie przenosi trzystu metrów.

— A ruch bałwanów?

— Trzeba go brać w rachubę, ma się rozumieć — odparł Ford. — Wiem z doświadczenia, że fala rozchodzi się z szybkością 7 — 15 metrów na sekundę; jeżeli w danym przypadku przyjmujemy 10, to będziemy blisko prawdy; podług takiego rachunku wypadnie, że balon robi trzydzięści węzłów

— Dolny prąd płynie zatem w kierunku wręcz przeciwnym, aniżeli górny — rzekł Gromski — mogliśmy z ła twością wrócić z nim do południowej Ameryki, w cztery lub pięć dni,

— Nie skorzystamy jeszcze ze sposobności — rzekł Ford.

— Więc najlepiej chyba zrobimy, powierzając balon cyrkularnemu prądowi.

Ford potrząsnął głową.

— Uczynimy to dopiero w ostatecznym razie; wprzód zobaczymy, czy w dolnych warstwach atmosfery stale panuje ten wiatr, co teraz.

(d. c. n.)

## LATAWCE NAD NIAGARĄ.

Kiedy postanowiono wybudować wiszący most żelazny ponad potężnym wodospadem Niagary w Ameryce Północnej, inżynierowie mieli nielada trudność w zaprowadzeniu pierwszej niezbędnej komunikacji pomiędzy dwoma brzegami.

O przeprawie przez rwące fale powyżej katarakty nie można było nawet marzyć; żaden statek nie potrafiłby pokonać bystrego prądu; poniżej pełno skał i wirów, należało tedy uciec się do jakiego dowcipnego sposobu. Inżynierowie suszyli sobie głowy dość długo, nareszcie wpadli na oryginalny pomysł. Oto do połączenia obu brzegów rzeki użyli latawców, któremi zwykle bawi się młodzież. Na długich i o ile możliwości najmocniejszych sznurkach, wypuszczono przy pomysłnym wietrze kilkadziesiąt tych przyrządów; kiedy latawce przeleciały na drugą stronę wodospadu, spuszczone je tam na ziemię, a potem po przeciągniętych sznurkach, przewleczono linę, za jej pomocą zaś inne grubsze, mocne, w końcu zaś belki i drągi, mogące służyć za pierwszą osnowę wielkiego mostu.

Tak więc bezużyteczna na pozór zabawka, oddała wielką usługę i pomogła do wykonania trudnego i wspaniałego przedsięwzięcia.

## WŁASNYCH SIŁACH.

Powieść

p. Bronisławę Porawską.

(Dokończenie).

— Wprawdzie nie spodziewałem się pana ujrzeć, niemniej witam go z prawdziwą przyjemnością.

Swoboda Jerzego, pewność siebie, twarz spokojna bez śladów zniechęcenia i zniechęcenia, zakłopotwały w pierwszej



chwili Witolda. Sądził, że go zastanie zgnębionego, zrozpaczonego, nie taki więc zdziwienia. Cieszył się myślą, że stanie przed nim jak zbawca, i zaofiaruje mu swą pomoc, tymczasem Jerzy wyglądał jakby wcale pomocy nie potrzebował, a spora gromada ludzi pracujących przy usunięciu gruzów, dawała poznać, że tu rąk nie opuszczano wcale.

— Dowiedziawszy się o wypadku — zaczął Witold — pośpieszyłem zapytać, czy nie mógłbym w czemkolwiek być panu pomocnym? Straty, słyszę, są znaczne, pomimo asekuracji.

— Istotnie, a stratą największą jest czas, jaki upłynie zanim nowe budynki wznesione zostaną.

— Rozporządzacie zatem panowie ogromnym kapitałem, skoro się zaraz bierzecie do pracy? — zapytał Witold.

— Przeciwnie, zaczynamy znów z małym funduszem, ale mamy ogromną wiarę w przyszłość interesu.

— Pan jak widzę, jesteś niezwykłym, nie wahasz się nigdy co masz czynić, nigdy nie wątpisz.

— Bo wątpienie to zły przyjaciel, odbiera siły, i pograża nas w bezczynność. Gdybym teraz naprzykład, zwątpił i ręce opuścił, kilkadziesiąt rodzin zostałoby bez chleba, porzuciłbym interes, którego przyszłość uśmiecha mi się bardzo, poszedłbym szukać gotowego już chleba, i marzenie lat wielu obróciłoby się w niwecz.

Nastąpiło chwilowe milczenie, które Witold przerwał zaofiarowaniem umieszczenia znacznego kapitału, w powstającej nowo fabryce. Jerzy z pewnem zdziwieniem i niedowierzaniem spoglądał na młodzieńca.

— Pan istotnie chcesz przystąpić z nami do spółki? — zapytał.

— Tak jest, pragnę tego i dość znaczną gotówkę mogę panu oddać zaraz do rozporządzenia.

— Jestże to postanowienie zrobione z rozmysłem? — zapytał jeszcze Jerzy.

— Naturalnie — odrzekł Witold z uśmiechem — z pieniędzy jestem zawsze ostrożny. Ale co tu długo mówić. Widzę że to pana dziwi: powiem ci więc szczerze, że postępkim tym, chcę zmyć winy przeszłości. Matka moja nie może mi darować, że pan nie jesteś mym przyjacielem.

Po przełamaniu tych pierwszych lodów, nastąpiło pojednanie serdeczne, a gdy raz już zwyciężyła szlachetna natura Witolda, wyrzucił z serca wszystko co było niechęcią i żalem, bo miał żal istotnie gdy mu Irena odmówiła swej ręki, wiedział bowiem, że wyżej ceniła Jerzego.

#### ZAKOŃCZENIE.

Lat dwa znów upłynęło od pożaru fabryki, ale już stała nowa, jeszcze większa i okazalsza. W dali widnieje szereg białych domków, przy każdym widać założony ogródek. W ogródkach jest po kilkanaście drzew owocowych, są zagony na warzywo, i grządki na kwiaty.

Na ganku przed dworkiem dyrektora, siedzi na ławeczce, pod zwojami bluszczy i róż pnących, pani Grzymalina, ubrana z wielką starannością, a twarz ma uśmiechniętą i rozpromienioną wyrazem szczęścia, nie pozostawiającego już nic do życzenia.

Opodal trochę, pod cieniem kasztanów, stoi elegancki mały powozik, zaprzężony w parę siwych rosłych koników, które wstrząsając głowami i kopytami uderzając o bruk dziedzińca, wyraźną okazują niecierpliwość.

Pani Grzymalina spogląda ciągle ku fabryce, jakby stamtąd oczekiwała kogoś, którego radaby ujrzeć jak najprędzej.

Nareszcie wychodzi z fabryki Jerzy, i szybkim krokiem zmierza ku dworkowi.

— Przepraszam że babunia czekała na mnie zbyt długo — woła już z daleka — ale nie mogłem uwolnić się wcześniej.

— Wiem synku, że wcześniej nie mogłeś; obowiązek zawsze idzie przed osobistymi sprawami — odpowiedziała ze spokojem babka — ale teraz, możemy pewnie już jechać.

— W tej chwili babuniu, zmienię tylko ubranie, i za pięć minut będę gotów.

Istotnie nie marudził długo, konie zaszły, służący wyniósł walizkę, i ruszyli ostro drogą, porządnie wysadzoną drzewami.

W godzinę potem jechali koleją do Warszawy.

Tymczasem w mieszkaniu p. Doliwowej, czyniono jak niegdyś przygotowania na przyjęcie gości, był to bowiem dzień poprzedzający wesele Ireny z Jerzym. Tylko dziś zastawę stołu zajmowały się dwie młode panienki, przerywając sobie pracę wesołą rozmową, w której wybornie im pomagało trzech gimnazystów.

— Czekajcie — woła najstarsza, ładna blondynka o figlarnym uśmiechu — postawię wszystko tak samo, jak ustawiła niegdyś Renia, gdy pani Grzymalina z wnukiem była u nas na obiedzie, wtedy gdy Jerzy dostał złoty medal.

— Czy ty to pamiętasz Luciu? — zapytał najmłodszy z chłopców.

— Ja? a to dobre, miałam przecież już lat sześć skończonych — odpowiada panienka z dumą.

— Mój Boże, czemu to ojczuś nie doczekał tego — odzywa się druga panienka z westchnieniem — nie będzie to prawdziwe wesele, bo nam smutno będzie bez ojczusia. Ach! on tak kochał pana Jerzego.

— Już pięć lat jak ojciec nie żyje — rzekł najstarszy — a ja nie mogę się z tem oswoić, zdaje mi się, że gdzieś tylko odjechał.

Wesołe gronko posmutniało, lecz zwrot tych myśli przerwało wejście matki, która rzekła:

— Chłopcy, czas wam iść na dwórzec; pociąg za pół godziny przychodzi, przebierzcie się więc i idźcie.

— Mateczko, czy wstąpić po Stefana?

— Nie trzeba, on tam już jest z pewnością.

Pani Doliwowa wróciła śpiesznie do swego zajęcia, chłopcy pobiegli także na spotkanie oczekiwanych gości, pozostały tylko dwie panienki, krzątające się żwawo.

Gdy zastawa była gotową, Lucia uchyliła drzwi do przyległego pokoju i przemówiła wesoło.

— Może panna Irena zechce zobaczyć, czy wszystko w porządku?

We drzwiach ukazała się piękna panna, wyniosłej postawy, o ciemnych włosach, i czarnych błyszczących oczach.

Twarz jej była jedną z tych, które raz ujrzone, pozostają w pamięci na długo. Ruchy jej zręczne i żywe, wykazywały energię i pewność siebie, która się wyrabia pracą, staraniem nietylko o własne potrzeby, ale i o potrzeby ukochanych. Ze słodkim, wesołym uśmiechem spoglądała na zarumienione zmęczeniem i pośpiechem panienki.

— Jakże, czy dobrze? — zapytały jednocześnie,

— Słicznie — odrzekła Irena, i zamysliła się smętnie. Dziewczęta odgadły jej myśli.

— Co my tu bez ciebie Reniu poczniemy? — rzekła Lucia, która zawsze pierwsza głos zabierała — jak my sobie damy radę z naszą tęsknotą?

— Chyba że co drugi dzień chociaż przyjedziesz do nas — rzekła młodsza.

— Jakoś nas ubywa — rzekła znów Lusja — Stefan się ożenił, i to już od lat sześciu, teraz ty Reniu wychodzisz za męża, Julek jedzie do Moskwy, e, zmniejszy się nasze gronko domowe. A tak nam było wesoło i dobrze razem, prawda Marylko?

— Oby tylko wszyscy byli szczęśliwi — odrzekła panienka z uśmiechem, który ją dziwnie podobną czynił do Ireny — oby im dobrze było!

— Ty zawsze myślisz o drugich pierw niżeli o sobie — rzekła Lucia z zawstydzieniem — tak, Stefan, Renia i ty, byliście i jesteście zawsze podobni do siebie. Stefan choć się ożenił zawsze nas kocha jednakowo i myśli o nas, Renia, ba, wiadomo czem dla nas była, a teraz pewnie Marylka będzie aniołem naszego domu.

Głośno dzwonek przerwał dalszą rozmowę, a w chwilę potem było wesoło, jak radośnie było w skrom-



dem mieszkanku rodziny Doliwów. Naturalnie że nie brakowało i Stefana z żoną, który wyglądał na podstarzałego już trochę tatusia. Zawsze tak samo dobry, szlachetny, zawsze przystójny i okazały, siwił jednak widocznie, i żona nazywała go żartami dziaduniem.

Gdy po skończonym obiedzie towarzystwo siedziało jeszcze przy czarnej kawie, Stefan, zwracając się do Jerzego przemówił

— Czy wiesz że Witold wyjechał na lat kilka za granicę? dziwna jest mieszanina uczuć w tym człowieku, dziwny charakter!

— Wiem — odrzekł Jerzy — ale co widzisz dziwnego w jego wyjeździe?

— To, że powinien pracować u siebie, mając środki po temu, powinien oddać dług ziemi na której się urodził, a nie trwonić majątku zagranicą, i groszem tak w kraju potrzebnym zbogacać cudzoziemców. Zwiedzić i poznać obce kraje choćby świat cały z krańca w kraniec, to rzecz inna; przyrzec się jak drudzy pracując, jak myślą, jak się rządzą, aby to co jest dobrem i pożytecznym przenieść na swoją ziemię, to co innego. Ale porzucić kraj swój, aby żyć z obcymi, to grzech, to występki!

Stefan uniósł się, oczy jego pałały oburzeniem.

— A któż ci powiedział Stefanie, że Witold nie w tym celu wyjechał? — zapytał Jerzy.

— Ty bo zawsze go bronisz — rzekł Stefan niechętnie trochę.

— Bronię, gdyż poznałem szlachetny z gruntu jego charakter, i ręczę, że wróci wkrótce do ojczyznej ziemi — odrzekł Jerzy.

W tej chwili wniesiono telegram; były to życzenia Witolda, brzmiące jak następuje:

„Uprzedzam dzień jutrzejszy, życząc wam szczęścia, na jakie zasługujecie oboje. Pomyślcie czasem o oddalonym, który duszą i myślą jest zawsze między swymi. Zwiedziwszy Europę, wróć do was. Wszystkich ogarniam pozdrowieniem. Witold.

Jerzy uśmiechnął się radośnie, a zwracając się do Ireny, rzekł:

— I my także udamy się w podróż: pojedziemy do Francji, zwiedzimy Anglię, i wrócimy do ojczyzny z bogactwami zdobyczanymi wiedziedzi zebrałej po drodze. A widząc zarumienioną twarzyczkę Luci, i oczy pałające ciekawością i pragnieniem poznania obcych krajów, pochylił się do niej i szepnął:

— I Lucia pojedzie z nami.

## SZARADA.

Na pięciu stoję nogach, lecz tam tylko żyję,  
Kiedy promień słoneczny mych podstaw nie zmyje  
Są kraje, w których nawet jako gość nie bywam  
Są inne, gdzie rok cały przewagi używam.  
Gdy wszystko wkoło martwe, na mnie się cieszyć  
Bo wam daję zabawę i unilam życie  
Zmień mi jednak mą pierwszą nóżkę na początku  
Już dawnego istnienia nie dopatrzysz wątku.  
Stanę się pożywieniem z ziarenek drobnych, białych  
Które mi karmił Pan Bóg ludzi wygłodniałych.

## PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

**TREŚĆ:** Dla czego na górach zimno, skreślił Stanisław Kramsztyk (z drzew.) — Opowiadanie pana Władysława. — Balonem do bieguny p. Wł. Umieńskiego. — Morze, wiersz (z drzew.) — Łatawce nad Niagarą (z drzew.) — O własnych siłach, p. Bronisława Porawską. — Łamigłównki i rozwiązania. **Dodatek:** Na cudzym chlebie, wiersz (z drzeworytami). — Bolesław p. H. Wernica. — Janek i Wróbel p. Ciocię Rózię. — Odwaga i zuchwalstwo p. M. P. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Wśród puszczy meksykańskich.

## Łamigłównka w trójkacie.

. . . . . Zapełnić kropki literami, aby rząd pierwszy oraz pierwsze litery utworzyły nazwę owadu z rodziny tegopokrywych. Znaczenie wyrazów w dalszych rzędach: 2. Pokrycie pewnej gromady zwierząt. 3. Zwierzę morskie z gromady mięczaków pokryte dwiema skorupkami wapiennymi. 4. Zwierzę morskie z gromady mięczaków w jednej wapiennej skorupce. 5. Płyn wonny znajdujący się w głowie wieloryba. 6. Nazwa zebrań ludowych. 7. Dopływ Rennu. 8. Wykrzyknik. 9. Spółgłoska — Zgłoski: Am—c—bra—eh—ga—inn—ka—łuszcz—o—ton—stry—ta—try—wiec—wiec—zło.

## ROZWIĄZANIE DO N-ru 8-go.

### Łamigłównki sylabowej:

1. Tusi. — 2. Efez. — 3. Ryga. — 4. Darib. — 5. Ye. — 6. Neapol. — 7. Annapol. — 8. Nauplia. — 9. Dzik. — 10. Kartagina. — 11. Antiparos. — 12. Tarent. — 13. Orkady. — 14. Liverpool. — 15. Ili. — 16. Czyj. — 17. Kanzes. — 18. Ilek — 19. Istrya.

Ferdynand Katolicki i Izabella Kastylijska.

### Zadania konikowego:

Mniej trudu w każdej pracy czujemy,  
Kiedy go chętnie podejmujemy.

*Ewa Marya.*

Książki wydane nakładem Redakcyi **Ogrodnika polskiego** nabyć można także, bez ponoszenia kosztów przesyłki.

**Ogrodnictwo przemysłowe**, p. Edmunda Jankowskiego. Z ry sunkami, rs. 2. — Tegoż: **Ogród przy dworze wiejskim**, rs. 4. — **Kwiaty naszych mieszkań**, rs. 4. — **Krzew winny, jego hodowla w gruncie i budynkach**, rs. 1. — **Ogrody polne**, kop. 20. — **Owoce**, kop. 20. — **Sad przy chacie**, kop. 20. — **Warzywa w gruncie p. Kaczyńskiego**, rs. 2 kop. 50. — Tegoż **Warzywa w inspekcie**, rs. 2.



# WIECZORY RODZINNE.

## NA CUDZYM CHLEBIE.

(Dokończenie)



Więc szczur w rozpaczy płakać zaczyna:

„O! nieszczęśliwa godzina!

„Przepadłem! Zginę! Już po mnie!

„Myśleć nie mogę przytomnie...

„Ten pies... niecnota, potwór, mnie schrupie,

„Tyć będzie na moim trupie,

„Jak ja utylłem na cudzem życie

„Cudzej pszenicy, na grochu, hreczce!...

„Za słodkie miałem tu życie

„Na cudzym chlebie! Teraz w ucieczce

„Nawet ratunku znaleźć nie mogę...

„Okropną cierpię trwozę



„Konam"!... W istocie szczur ledwie żywy.

Lecz alarm był to fałszywy:

Pies inne miał poszlaki.

Ale szczurowi

Strach tak się dał we znaki

Że natychmiast postanowi

Nieobludnie,

Dopóty pościć, aż schudnie.

Słowo, rzecz święta! Dotrzymał słowa;

Chrupiący owies, pszeniczka płowa,

Groch biały, próżno go nęci:

On ciągle ma na pamięci

Że miłe życie przed małą

Niedawną chwilką

Na włosku tylko,

Wisiąło.



Nie chce być więcej w takich tarapatach,  
W ciągłym żyć strachu, ciągle być na czatach.

Pości więc zuchwale:

Śniadania nie je wcale,

Nie zje jak się należy,

Obiadu, ni wieczerzy,

Caluteńki dzień Boży

Biedak głodem się morzy.

Niebawem tej dyety wychodzą na jaw skutki:

Szczur się zrobił szczuplutki



Z każdym dniem zbywa pięknej, okazałej tuszy,

Schudł mu bok, sterczą uszy

Najeżył się włos gładki,

Na wierzch wyszły łopatki,

Zapadły boki, oczy...

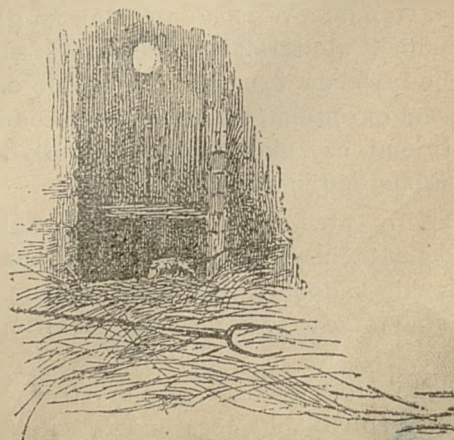
Aż mu się w głowie mroczy,

Tak ciężkie postu trudy!

Aż wreszcie przeraźliwie, suchotniczo chudy

Podobniuteńki do szczapy

Kij pielgrzymi wziął w łapy





I dnia pewnego, drogą znajomą,  
 Cichuteńko i składnie  
 Umknął... Gdzie? Niewiadomo!  
 Nikt już tego nie zgadnie.  
 Ogon tylko widziano,  
 Gdy zmykał szczur drogą znaną,  
 Przenosząc głód i niewyuczasy  
 Nad strach i cudze frykasy.

T. P.

## BOLEŚ.

Boleś nie lubił się umywać. Kiedy matka zbliżała się z gąbką i mydłem, poczynął płakać i chciał uciekać, a pomimo tego, jak tylko otrzymał czystą odzież, szedł do ogrodu, rzucał się na trawę, a po upływie godziny całkiem był zamorusany. Ktokolwiek na niego spojrział, mawiał: jaki to nieporządny chłopczyk ten Boleś!

Za nadejściem wigilii Bożego Narodzenia, wszystkie dzieci dostały od rodziców kolędę; jeden tylko Boleś nic nie otrzymał. Na miejscu przeznaczonem na jego kolędę znajdował się papier, na nim było napisane: Boleś nic nie dostanie na kolędę, ho jest nieporządnym!

H. Wernic.

## JANEK I WRÓBEL.

Janek siedział przy stoliku i pilnie uczył się słówek francuskich; stół stał niedaleko od okna, poza którym widać było obszerne podwórze, dalej domy z dachami pokrytymi śniegiem. Po najbliższym dachu skakało kilka wróbli; raz w raz jeden z nich zlatywał na podwórze i szukał między kamieniami pożywienia.

Widok ptaków drażnił ciekawość Janka, a tu jeszcze kilka słówek nauczyć się trzeba było. Powtarzał je też z zapałem: *la neige* - śnieg, *la glace* - lód i t. d., aż wreszcie podskoczył, książkę zamknął i pobiegł do okna. W tejże chwili ciocia Różia weszła do pokoju.

— Czemu tak się przyglądasz, Janku? — spytała.

— Przyglądam się wróblom, ciociu, i myślę czego szukają po podwórzu?

— Pewno pożywienia, moje dziecko.

— Cóż one tam do zjedzenia znaleźć mogą?

— Okruszynki chleba, bułki, może parę ziarenek owsa przed stajnią. W lecie nie brak im gąsienic, drobnych owadów, ale teraz w zimie przyda się i kruszyna chleba, choć twarda i sucha. Ty jej nie dojrzysz, lecz wróbel swem okrągłym, czarnem okiem odróżni ją zaraz od grudki ziemi czy piasku i chciwie polknie, tem chciwiej im trudniej mu ją znaleźć.

— Biedny ptaszek, takie poszukiwanie męczyć go musi. Ciociu Róziu — dodał po chwili Janek — ja teraz ile razy wyjdę z domu, tyle razy wezmę w rękę dużo okruszyn i wyrzucać je będę, aby ptaki miały czem się żywić.

— Pięknie to, Janku, z twojej strony, że myślisz o głodnych wróbelkach, lecz muszę ci powiedzieć, że

twój sposób jest niepraktyczny. Wróble jakkolwiek dosyć śmiałe, nie uwijają się między ludźmi po chodnikach, więc twoje okruszyny daremnie czekałyby na głodnego amatora, a tymczasem przechodnie roznieśliby je butami i bucikami rozdeptali, a ptaszki niczy z tego nie skorzystały.

— Prawda ciociu — roześmiał się Janek — to też wiem co zrobię. Zgadnij, ciociu Róziu, co?

— Nie wiem Janku — zapewniła ciocia.

— Oto codziennie zbiorę okruschy ze stołu i przez lufcik na podwórze wyrzucę.

— Nic nie mam przeciwko temu, uważaj tylko abyś ich na głowę komu nie wysypał.

— Już ja będę uważał. Od jutra zacznę. Ale dla czego to ciociu, nie widać w zimie ani jaskółek ani skowronków, ani bocianów tylko szare wróble i czarne wrony.

— Bo wiele ptaków na zimę odlatuje od nas do krajów cieplejszych, by znów na wiosnę do nas powrócić. Takie ptaki zwiemy *wędrownymi*. Inne zaś całe życie w jednej okolicy przebywają i te zwiemy ptakami *miejscowymi*. Takim jest naprzykład wróbel. Co zaś do skowronków, jedna ich odmiana a mianowicie małe, szare ptaszki, zwane dzierlatkami, całe życie u nas spędzają. Lecz skoro chcesz karmić wróble, Janku, możesz to zrobić i dzisiaj. Poproś mamy o kawałek ośrodka z chleba.

Janek pobiegł spełnić polecenie cioci i w parę minut później całą garść okruszyn rzuciła ciocia przez lufcik na podwórze. Wnet chmara wróbli je obsiadła.

— Ciociu — wołał Janek — skąd ich tyle przyleciało?

— Z dachów sąsiednich zleciały, gdy pożywienie spostrzegły.

— O! biją się dwa wróble i tu dwa znowu. A, brzydkie ptaki, nie bijcie się, dla wszystkich przecież wystarczy! — wołał chłopczyk.

— A zwykle trzeci wróbel porwie kawałek, o który się dwóch poczubilo, to też jest o tem przysłowie — dodała ciocia.

— Znam je — rzekł Janek: „gdzie się dwóch kłóci tam trzeci korzysta”, nieprawdaż ciociu?

— Tak, staraj się jednak Janku nie należeć ani do tych którzy się kłócą, ani do tych, którzy z brzydkiej kłótni korzystają.

Ciocia Różia.

## ODWAGA I ZUCHWAŁSTWO.

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO M. P.

(Dalszy ciąg).

V.

Gdy noga Julka zupełnie boleć przestała chodziłiśmy na dalekie spacerki i wtedy częściej spotykaliśmy Janka Boot. Z początku trzymaliśmy się od niego zdaleka, bośmy mieli żal za nieszczęsne rybołówstwo, kiedy to nas zostawił a sam uciekł. Pułkownik tak o nas mówiąc



nim ostrzegął, ale Janek był taki zabawny, tak nas umiał rozśmieszyć, że nie mogliśmy się od niego zupełnie usunąć. W którąbyśmy stronę nie poszli, zawsze Jaś nadbiegł i za każdym razem miał nowy plan do zabawy. Znał wszystkie gniazda w okolicy, wiedział w których są jaja, a w których się już wylęgły młode. Chociaż już było dosyć późno, zaczęliśmy z jego namowy i przy jego pomocy zbierać te jaja, układać je według wielkości i kolorów; z czego powstała bardzo ładna kolekcya. Nie raz chodziliśmy daleko, żeby znaleźć jajko rzadkie i ciekawe, albo ścigaliśmy ptaka przez łąki póty, póki nas nie zaprowadził do swego gniazda.

Jaś łaził po drzewach jak wiewiórka, biegał jak jelen i żadne płoty, rowy ani mury nie zatrzymały go, jeżeli chciał się przez nie przedostać.

Pewnego dnia wyszliśmy trochę wcześniej niż zwykle, bośmy mieli zamiar dojść do starego muru, gdzie jak Jaś utrzymywał było mnóstwo gniazd z jajami. Droga przechodziła tuż obok kościoła, i przez uchylone drzwi usłyszeliśmy dźwięk organów.

— Zatrzymajmy się troszeczkę — powiedział Julek — to pewno panna Fanshawe przygotowuje się na nabożeństwo niedzielne.

Weszliśmy na dziedziniec przed kościołem i stanęliśmy pod wielką lipą nieopodal drzwi. Jaś nie mógł ani chwili usiedzieć spokojnie, wdrapał się na wysoki grobowiec i zaglądał przez okno. Po chwili zeskoczył z niego, przewrócił w powietrzu koziołka, i przybiegł do nas.

— Doskonała myśl — zawołał — nie macie jeszcze ani jednego jaja kawki, a tu na dzwonnicy pełno gniazd. Widziałem jak całe gromady wylatywały przez okno, ale nigdy mi się jakoś nie udało dostać na szczyt wieży. Chodźcie.

— Dobrze, ale pierwaj poprosimy o pozwolenie panny Fanshawe.

— Czyż kościół do niej należy? Poco ma o tem wiedzieć? Z takim zajęciem gra, że nas nie usłyszy, jak tylko wejdziemy cicho, i nie zobaczy nas, bo nas ławki zasłonią.

— Trzeba przecież, żeby ktoś wiedział żeśmy weszli na dzwonnice.

— Jakiś ty dziwny, toż kościółowi to zupełnie nie zaszkodzi, przeciwnie, nawet pomoże. Tyle jest tu kawek, że wkrótce nie będzie można dzwonić. Wyobraźcie sobie, co za awantura. Nikt nie wie że ksiądz mszę odprawia w kościele i wszyscy idą do kaplicy, a tu kaplica zamknięta. Widzicie, nawet będzie lepiej jeżeli trochę gniazd uprzątniemy. Ksiądz proboszcz powinienby nam być wdzięczny.

Nie wiedzieliśmy co odpowiedzieć na takie niezbite dowody. Ja patrzyłem na Julka, Julek patrzył na mnie. Obaj mieliśmy ochotę pójść na dzwonnice, ale wahaliśmy się jeszcze.

— Nieznośni jesteście — zawołał Jaś — nigdy nie chcecie zrobić tego co ja chcę.

— A może pan Campbell będzie się na nas gniewał?

— Toż wam powiadam, że będzie jeszcze kontent; że też się zawsze musisz przeciwzić.

— No, więc dobrze, chodźmy Julku.

Jaś wśliznął się pierwszy, ja za nim, a Julek szedł na samym końcu. Muzyka głużyła szelest naszych kroków, a podczas gdyśmy się przesuwali pod ścianą, przyszło mi raz na myśl, że niepotrzebnie się skradamy jeśli proboszcz ma nam być jeszcze wdzięczny, ale mimo to starałem się robić jak najmniej hałasu. Musieliśmy przejść przez cały kościół, zanim dostaliśmy się do drzwi prowadzących na dzwonnice. Po kilku schodach weszliśmy na małą estradę, gdzie na ścianach były wypisane nazwiska dobroczyńców kościoła i zapisy na biednych. Sir John Marton przekazał testamentem dochód z trzech domów w Londynie na utrzymanie ubogich w Silverhill a sir Tymothy Alderman przeznaczył po 6 pensów tygodniowo i po nowej sukni corocznie dla sześciu starych kobiet tejże parafii. Napisy te umiałem na pamięć, bo je co niedzieli prawie odczytywałem zanim się nabożeństwo zaczęło. Jeszcze kilka schodów prowadziło do małej izdebki bez pułapu, w której się z góry zwieszały długie sznury od dzwonów. Z tej izdebki wchodziło się po krętych schodach aż na sam szczyt wysokiej wieży. Schody były bardzo stare, zniszczone i tak ciemne, że musieliśmy się rękami o ścianę opierać żeby nie upaść.

Na samym szczycie, gdzie wisały dzwony, było niewielkie okienko i tam właśnie gnieździły się kawki. W tem miejscu nie było prawdziwej podłogi, tylko grube belki na których ułożono deski tak rzadko, że przez szpary można było widzieć co się działo na dole. Kto cierpiał na zawrót głowy, mógł być pewny że go tu dostanie, to też Julek nie odważył się stanąć na tej podłodze, tylko usiadł na kamiennych schodkach i przyglądał się nam, jakeśmy huśtając się na popaczonych deskach przechodzili na drugą stronę.

Wielkie, milczące dzwony, zrobiły na mnie ogromne wrażenie, myślałem sobie jakby to było okropne, gdyby tak nagle zaczęły dzwonić i dziwiłem się kawkom, że budowały tu swoje gniazda, nie zważając na hałas, który przecież musiał ogłuszać ich małe.

Jaj było już niewiele, ale zawsze kilka znaleźliśmy; Jaś wziął z gniazda parę młodych kawek, włożył je do czapki i powiedział że je wychowa i nauczy mówić. Takie były zabawne! Miały żółte dzioby, długie szyje bez piór i krzyczały na całe gardło.

Kiedy wracaliśmy, deska podniosła się, oderwała kamień od muru i ten z przeraźliwym łoskotem wpadł do izdebki dzwonników. Muzyka w kościele umilkła natychmiast, staliśmy cicho powstrzymując oddech, bo dały się słyszeć kroki na drewnianych schodach i po chwili odezwał się głos w dole.

Czy to który z chłopców jest na górze? Zaraz mi schodzić!

Wszyscy trzej milczeliśmy; wtedy drugi głos zapytał:

— Czy mam wejść na schody i zobaczyć, panienko? Na to pierwszy głos odpowiedział:

— Nie, dziękuję wam Piotrze, musiało mi się wydawać. A może to były kawki, bo czasami bardzo hałasują.

Potem się głosy i kroki oddaliły. Nie słychać było



więcej muzyki na organach, tylko mocne zatrzaśnięcie drzwi i zgrzyt klucza w zamku — i wszystko ucichło.

Julek zerwał się przerażony. „Tomku, zamknęli nas, co my teraz pocniemy?”

Jaś huśtał się na krzywej desce i wołał ze śmiechem.  
— Zamknęli nas w kościele! o, to zabawne!

Muszę przyznać, że mi się to wcale nie wydało zabawnem, bo dziś mieliśmy czwartek, a wiedziałem że nie będzie nabożeństwa aż do niedzieli. Jeżeli nikt przedtem nie przyjdzie do kościoła, to możemy wszyscy trzej pomrzeć z głodu. Nie było chat w pobliżu, więc na nicby się nie zdało nasze wołanie, a jeżeliby je usłyszał ktoś przechodzący drogą i przyszedł nas uwolnić to czekała nas zawsze niemiła przeprawa z proboszczem.

— Może drugie drzwi są otwarte — powiedziałem, kiedyśmy wchodzili do kościoła i pobiegłem z Julkiem do małych drzwiczek prowadzących do zakrystyi, ale były zamknięte, jak również i drzwi wchodowe. Dar- mośmy je popychali, ani trochę się nie zachwiały.

Jaś bardzo się obojętnie zachowywał: zaglądał we wszystkie kąty, wszedł na ambonę, stanął przed pulpitem księdza i udawał że czyta biblią, spróbował czy wygodnie siedzieć w kolatorskiej ławce, i na pytania nasze: co teraz pocniemy? odpowiadał śmiejąc się z rękami w kieszeniach: A to zabawne! co nas ani trochę nie pocieszało.

Nakoniec zrozpaczony usiadłem na stopniach ambony. Julek ze łzami w oczach przyszedł i usiadł obok mnie i obaj zaczęliśmy przemyślać jakby to się wydo- stać na wolność.

(d. n.)

SZARADA.  
przez Ewę Maryę.

Z dwóch zgłosek jeden wyraz się złoży;  
Znaczy muzyczne dęte narzędzie.  
Gdy czas dni nowych zakres otworzy,  
Niech wspaniał nam *wszystek* szczęśliwym będzie!..

REBUSIK.

(wita) no  $\left\{ \begin{array}{l} \text{ROŻ} \\ \text{na} \end{array} \right. k \text{ (kiem-gan)}$

ROZWIĄZANIA DO N-ru 8-go.

Łamigłówni sylabowej:

1. KampesZ. 2. OstiA. 3. RodaN. 4. FrankfurT.  
5. UralskiE.

Korfu — Zante.

Zadania konikowego:

Kto zanadto bredzi,  
Nie ma odpowiedzi.

Ewa Marya.

## Skrzynka do listów.

Niezabudce z nad Chomoru posłaliśmy pocztą odpowiedzi co do żądanych książek.

Szarada od W. M. dla N. nie odpowiednia dla nas.

Kretowi z Noworossyi, wyraz Niwa przez omyłkę dostał się do tego zbioru, na ułożenie jego bowiem potrzeba rzeczywiście 10 patyczków, resztę wyrazów zupełnie dobrze ułożyć można 8-miu biorąc główne tylko linie liter, a wszelkie środkowe kreseczki się omija, jako drugorzędne.

Stefan K. przysłał nam cały arkusz zagadek i lamigłówek, w których dostrzegliśmy parę błędów ortograficznych, jak naprzy- kład *dziub* zamiast *dziób*. Czystości pisowni zawsze przestrzegamy gorliwie i miło nam też widzieć podobną gorliwość w kochanych naszych czytelnikach.

Starsza siostra posłużyła za dobry przykład Wróbelkowi ze Żmudzi, skoro miła ptaszyna odzywa się do nas. Pismo zupełnie nie jest brzydkie: niewprawne ale foremne, z czasem wyro- bi się jak należy.

Ładny sobie wybrała pseudonym *Złota Róża!* „Pani, która zachęcała do pisania” jest wyrazem uczuć całej Redakcyi, chętnie zawiązującej stosunki z czytelnikami swoimi. Niepoprawność mo- wy i pisma nie jest grzechem, jeżeli kto ma dopiero lat 10 i wy- chowuje się nie w kraju. Przy dobrej woli, przy ciągłej uwadze na siebie łatwo jest mówić i pisać prawdziwie po polsku. Nadesłane rozwiązania są trafne. Skoro *Czarodziej z nad Ligowki* miał czas rozwiązywać lamigłówni, to może znalazłby wolną chwilę na napi- sanie do nas?

Jedynaczka nadesłała także trafne rozwiązanie.

Tereni P. posłaliśmy żądane numera, również jak Mani Koś. i Władysławie Wr.

Sądząc z liściku *Stępowy Bodziaczek* będzie zapewne nie ostatni na konkursie kaligrafii.

A widzisz, *Aryameo*, jak to źle odkładać z dnia na dzień! Od tak dawna nie mieliśmy listu od ciebie, że nieraz myśleliśmy o tem, co też może być przyczyną milczenia kochanej naszej korespondentki. Woleliśmy dawny twój pseudonym, czyniąc je- dnak zadość twej prośbie, nie zdradzamy tajemnicy. Serdecznie dziękujemy za szczegóły, które nam o sobie donosisz; miło nam zawsze otrzymywać je od naszej gromadki; jeden to więcej powód zażyłego zbliżenia się z nami, działwo droga.

Zorzy pismo zawsze, jak zorza prawdziwa, przyjemność szczerą sprawia. Prośbie *Baryłeczki* jaknajchętniej zadość uczyni- liśmy.

Mrówce leśnej przesyłamy serdeczny uścisk i życzenie, aby udało się pisanie przeznaczone na konkurs kaligrafii.

Czteroczek do poważniejszych staje konkursów i nie wątpi- my, że z powodzeniem wywiąże się z zadania. Lamigłówni bę- dziemy umieszczali w miarę możliwości. Bardzo słusznie uczyniłaś wprowadzając w czyn zasadę, że „lepiej późno jak nigdy” — my tylko zyskaliśmy na tem i dla tego wraz z pochwałą uścisk prze- syłamy.

P. Przan. w Kr. Zadość czyniąc życzeniu wysyłać będziemy Wieczory pod wskazanym adresem; za słowo uznania i zachęty przesyłamy szczerę „Bóg zapłać” uważając, że trudno o wymo- wniejszą podziękę.